

Przełożyła Joanna Wilczak

Najpiękniejszy wieczór literacki w moim życiu III. Małe formy spośród większych brył. Synu, odwiedź młynarza.

Wpadliśmy z Jutką do Szegedu. Po wodoszczelny kabel ziemny do chaty. Do stajni nie był doprowadzony prąd, a nasi nowi gospodarze mają już krówkę, konika, dwa prosiaki i drób. Pędziliśmy, bo w jednym sklepie właśnie skończył się kabel ziemny, w innym z kolei było tylko siedem (7) metrów, a my potrzebowaliśmy dziesięciu (10), ni więcej, ni mniej, gnaliśmy, bo nie do pomyslenia było, że moglibyśmy wrócić bez kabla. I w tym pędzie, niedaleko Cisy, na wystawie jakiegoś dziwnego sklepu, zauważyłem kapotę jak na mnie.

Dokładnie tego szukałem! – wykrzyknąłem, zatrzymując się. Jutka gnała dalej, ale ja już w środku przymierałem kapotę. W sumie dwa tysiące dziewięćset forintów, powiedziałem, kiedy zbliżyła się wściekła. Szybko założyłem kapotę. Wyglądasz jak czołgista, powiedziała. Kilka osób w sklepie roześmiało się. W tym czasie ja zacząłem się już pocić, rzeczywiście, jak w gorącym, płonącym czołgu. Pofarbuję na czarno, powiedziałem. Zaprowadzili mnie do magazynu, tu było całkiem chłodno, w zapomnianym rogu pomieszczenia, w mocnym, mysim zaduchu stało półślepe lustro. Dobrze było tkwić w chłodnym lustrze w mojej nowej kapocie. To była jedna z tych chwil – niewiele jest takich w życiu człowieka – które chciałoby się zatrzymać. Czuję się, jakby mnie zamrożono w bryle lodu, jakbym oczekiwał przyszłych stuleci, Boże, myślałem, może to jest wieczność, w diamentowej bryle lodu – i, co ważne, nie marzę, bo przecież łatwo sobie wyobrazić ludzi zamrożonych w bryłach lodu, którzy przez stulecia trzęsą się z zimna, ale ja, tak, to jasne, nie będę się trząsł, jak trząsłem się dotychczas w moim zasranym życiu, dzięki mojej cudownej kapocie nie będę się trząsł w wieczności! Kiedy wróciłem do pomieszczenia sklepowego, jakiś podpity majster fuknął na mnie, znudzony moim dokazywaniem. Wyglądasz pan jak Gyula Horn! Jutka zapłacała, bo przestraszyła się, że wplączę się w jakąś kłótnię. Tymczasem ja ordynarnie odciąłem się majstrowi, który wspominał Gyulę Horna. Pierdol się pan, powiedziałem, sam go pan wybierałeś, i to nie raz! Po czym odwróciłem się w stronę klientów, którzy utworzyli już wokół mnie wianuszek, i w nieoczekiwanym uniesieniu dalej wrzeszczałem. Wyście go wybierali, wyście, i to nie raz!

Szczęśliwy wkroczyłem w upał. Na wpół rozebrani ludzie kręcili się jak trafieni apopleksją, oglądali się za mną. Skąd ten czołgista? – pytali zmieszani. Defilada czołgistów w mieście, powiedział ktoś. Nie rozumiałem, dlaczego mówią w liczbie mnogiej, ale pomyślałem, niewykluczone, że klienci w sklepie namyślili się i szybko wykupili wszystkie kapoty z magazynu. Pędząc w stronę granicy, szczęśliwy obmacywałem się w aucie.

W domu, w Palicsfürdő, z ciekawością przystąpiłem do badania kapoty. Zakładałem ją na imprezy domowe, święta w ogrodzie. Nareszcie dobrze się czuję, naturalnie się poruszam, swobodnie rozmawiam, powiedziałem Jutce. Mam poważne problemy z ubiorem. Żyjąc na uboczu, całkowicie odwykłem od odzieży, toleruję na sobie tylko sprane kurtki robocze w kolorze śliwkowym i znoszone kaftany. Wiesz, co jest jeszcze zaletą tej kapoty? – zapytałem Jutkę. Co? – spytała. To, że się nie gniecie i nie muszę jej zdejmować w nocy.

FABRYKA ODZIEŻY W SZEGEDZIE

Ocieplana kurtka ochronna
Ocieplenie Lidia

Nie wiem, co nazywa się ociepleniem Lidia. Czy przypadkiem nie waciak? Ale co to właściwie dokładnie jest waciak? W naszych stronach nie używaliśmy takiego określenia. Na Węgrzech waciak ma znaczenie dużo szersze niż prosta, pikowana kurtka podbita watą. My na przykład w dzieciństwie mówiliśmy, że gacie naszych bramkarzy w piłce nożnej są tapicerowane. Wiedziałem już, że przede mną wielkie badania, co więcej, przeczuwałem, że do Nowego Leksykonu Tolnaiego będę musiał dopisać hasła waciak oraz ocieplenie Lidia.

100% bawełny

Zachowuje wymiary. Poszedłem do Jutki i przeczytałem na głos. Zachowuje wymiary. Zachowuje kolory i barwy ochronne.

Napisane było *przeciętnej*, ale ja czytałem: *ponadprzeciętnej wytrzymałości środek ochrony indywidualnej*, napisane było *zapewniający ochronę przed suchym, wilgotnym i chłodnym klimatem, do temperatury -20 stopni*, ale ja czytałem: *do -30 stopni*. *Kurtkę ochronną należy zakładać na odzież roboczą. Kurtka ochronna nie („nie” oczywiście pominąłem) zabezpiecza przed substancjami chemicznymi*. Jutka musiała być już poirytowana, ale z jakiegoś powodu hamowała się. Zmierzyła mnie wzrokiem i powiedziała tylko: Gyuleńka! – Nie wygłupiaj się, powiedziałem, nie rozumiesz, w końcu mogę spokojnie pracować z wodorotlenkiem sodu, a nawet z wiotriolem.

Następnego dnia zawieźliśmy wodoszczelny kabel do chaty, gdzie w ciagle wzmaga-
jącym się upale wszyscy podziwiali moją kurtkę, na wodoszczelny kabel ziemny nikt nawet
nie zerknął. Mówili, że wyskoczą do Szegedu i też sobie kupią takie wodoodporne kurtki
z ociepleniem Lidia. Jutka, widząc powodzenie mojej kapoty, zaczęła nazywać ją Lidią.

Stwierdził się z sąsiadem, że sporo trzeba teraz zapłacić za psa. Teraz za psa trzeba
dużo zapłacić. Ale mnie się jeszcze udało tanio kupić to psisko, powiedział i pstryknął
palcami, na co zza chlewu wyłonił się wąły, skotłuniony pies. W dyskotecie w Kanizsy
harują szczury, odezwał się syn innego sąsiada, Tibike Kucora, który namalował por-
tret konia należącego do pierwszego sąsiada, starego deresza wiosną zabrakł Cygan,
a obrazek nadal wisi w kuchni na dole za zastoną z przepelnionych spiralnych lepów
na muchy. Niedługo będę o tym opowiadał w radiu i mieszkańcy, jak zwykle, kiedy jestem
w radiu, będą się tłoczyli w kuchni na dole i surowo konfrontować każde moje słowo
z bazgrołami Tibike Kucory na kartonie. Przynajmniej będziecie szybciej przebieierać no-
gami, zauważa sąsiad. To taki nowy taniec. Lambadę tańczyć, tańczyliśmy, prawda, pani
Jutko, ale tego to już tańczyć nie będziemy, mówi. Pytam, co z synem trzeciego sąsiada,
Toncsim? Nie dalej jak wczoraj przyniósł w rękawie kurtki wielki nóż. Wielki nóż? Po co?
Żeby mu porządnie naostrzyć. A wie pan, mówi sąsiad. Nie podjąłby się pan być ojcem
chrzestnym? Ojcem chrzestnym? Tak, trzeba by ochrzcić tego psa. Hm, powiedziałem,
drapiąc się po głowie, lichy wie. Mam być ojcem chrzestnym akurat takiego wątle-
go, skotłunionego, półtrasowego psa puli? To samica, powiedział, chytrze się uśmie-
chając. Niech będzie Jusztii, powiedziałem z nieoczekiwaną stanowczością, bo czułem,
że coś knuje. Podejmę się, powiedziałem, jeśli będzie się nazywać Jusztii. Nie, powiedział,
może być tylko Lidi. Lidi, do nogi, powiedział. Ale Lidi przybiegła do mnie. Widzi pan,
jaki ma węch, od razu poznała, że pan jest ojcem chrzestnym.

2.

Wszystkich Świętych. Jutka na targu wypchała bagażnik samochodu chryzantemami.
Wcześniej wyruszyliśmy na cmentarze. Najpierw do Palicsa, do mamy i starszej siostry
Jutki. Nieszczęsna babina miała tylko jedno życzenie, zostawiła to nawet na piśmie,
nie chciała być pochowana obok swojej matki. Tam ją pochowaliśmy, w dodatku obok
byłego męża, odlewnika żelaza z Liki, który w znacznym stopniu przyczynił się do śmierci
biedaczki, a później i nam groził bronią, granatem ręcznym, nazwisko odlewnika żelaza
też wyryliśmy na olbrzymiej leżącej płycie z marmuru. Odwiedzimy Bélé Farkasa, László
Magyara, Olgę Penavin, doktora Mardešića, Toricellego i Hannę oraz świeży grób
EXPRESS-GÉZY.

EXPRESS-GÉZA przycinał drzewa i spadł z drabiny. Jeszcze tydzień temu byłem
u niego, całe przedpołudnie opowiadał mi, jak jego ojciec robił buty. Pokazywał, zostały
po starym dwa worki drewnianych kołków, on już wszystko zautomatyzował, ale nie miał

serca spalić czy wyrzucić tych worków na śmietnik. Przyniósł garstkę. Potem jeszcze jedną. Siedzieliśmy na małym, ładnym tarasie, pochylając się nad kupkami drewnianych kołków pachnących sosną.

Przed nim kupka drewnianych kołków. Przede mną kupka drewnianych kołków. Jakbyśmy grali w jakąś pradawną grę towarzyską. Graliśmy poniekąd. Potem przynosił jeszcze po garstce.

Przed nim dwie kupki drewnianych kołków. Przede mną dwie kupki drewnianych kołków. I po trzy... Miałem ochotę poprosić go o jeden worek drewnianych kołków. Po co? – huknęła Jutka. W dzieciństwie drewniane kołki były dla nas bardzo ważną rzeczą, mamrotałem.

Potem jedziemy na cmentarz w Zencie. Do taty Jutki. Tam spoczywają rodzice jej ojca, Dulicsowie i Nagy-Kanászowie, w ładnej, starej krypcie, do której jej matka nie była skłonna się położyć, a także mąż młodszej siostry jej ojca, Paar z Varazsd, przy jego biurku teraz siedzę, po powrocie z cmentarza, z palcami w wosku, przebiwszy się przez chryzantemowe opary, owinięty w moją kaptotę (ocieplenie Lidia). Tam też spoczywa żona młodszego brata weterynarza z Kosowa, pani Ane, która mieszkała w Zagrzebiu i poruszając się z gracją, wciągała dym z długiej cygarniczki, ale teraz widzimy po jej panieńskim nazwisku, że tak naprawdę nie była Chorwatką, jak do tej pory myśleliśmy, ale Słowenką: Aleš. W końcu pani Ane zmarła w Belgradzie, bo ich córka, Ljerkka, dostała tam posadę. Z rodzinnej krypty przechodzimy do Ilonki Angebrandt, naszej sąsiadki z Wojwodiny, która później przyjechała za nami do Szabadki, do swoich czeskich krewnych muzyków o nazwisku Jäger, którzy mieszkali na ulicy Kosztolányiego (najmłodszy Jäger, Gyurika, grał na bębnie w filmie mojego syna, kiedy Miki Korica śpiewa na brzegu rzeki piosenkę *Gdzie jest to lato*), przechodzimy do małego, lichego grobu Dudus. Była drobną kobietą, jako jedna z ostatnich hodowała kwiaty na ulicy Kwiatowej (Cvecarska), o wielkim sercu i wielkim zamiłowaniu do mówienia, niezwykła istota, jeszcze w wieku siedemdziesięciu – osiemdziesięciu lat nie dała sobie w kaszę dmuchać, słowem ktoś, kto z pewnością zasługiwał na ładniejszy grób. Ładniejszy niż ta ledwo sklecona, licha mogiła. Zresztą teraz nie ma już nikogo, kto przejmowałby się tą nędzną stertą. Jedna jej młodsza siostra, matka Gyuriki, żyje jeszcze tu, w Szabadce, na ulicy Kosztolányiego, ale już nie chodzi, młodszy brat z Csantavér umarł, druga młodsza siostra, śpiewaczka operowa, razem z córkami mieszka w Kanadzie, jak zawsze podkreślała Dudus: obok Niagary. Dlatego do nich nie dzwonię, mawiała, bo nic nie słychać przez Niagarę, tylko jakiś huk jest w słuchawce, siostra dlatego też porzuciła śpiewanie – przytłoczyła ją Niagara, jak mówiła Dudus, niedługo wytrzymała konkurencję Niagary. Widzimy, że Gyurika był już przy grobie, jakimś strzępem przymocował kilka chryzantem do krzywo wetkniętego krzyża. Jutka wkopuje w ziemię przeciętą na pół plastikową butelkę, z innej wlewa do niej wodę, najpierw zręcznie układa zielone iglaki, potem wciska

kwiaty. To od niej się uczyłam, od niej uczyłam się robić bukiety, wspomina. Następnym razem musimy przynieść też łopatę i grabie. Dudus była bardzo ważną postacią w naszym życiu. Musimy jej postawić kamienny krzyż, otoczyć mogiłę cegłami, żeby wiatr nie rozdmuchiwał tej garstki ziemi. Albo może trzeba zabrać jej szczątki z powrotem do Wojwodiny, położyć obok dwumetrowego męża w drogiej krypcie. Ludzie jakoś tak nawet w ziemi nie mogą znaleźć swojego miejsca, mówię. Dlatego my każemy sobie spalić, mówi Jutka stanowczo.

Szötyök opowiadał na pogrzebie EXPRESS-GÉZY (chodzili do jednej klasy), że właśnie zebrał do woreczka szczątki swojego ojca i przełożył obok matki, Zsófi. Wetknąłem im też butelkę winiaka i butelkę palinki, dodał z poważnym wyrazem twarzy Szötyök, żeby się nie kłócili.

W końcu było przed nami na stole już po pięć kupek drewnianych kołków. Pięć kupek pachnących sosnowych kołków przed EXPRESS-GÉZĄ, pięć kupek pachnących sosnowych kołków przede mną. Teraz twoja kolej, powiedział EXPRESS-GÉZA. Ale powiedział to już jakby z zaświatów, w tym czasie księżyc był już na niebie. Wszedłem do warsztatu, przyniosłem po jeszcze jednej garści kołków z miękkiego drewna pachnących sosną...

Wracając, widzimy, jak Ljerka z długą cygarniczką w ustach krząta się wokół krypty. Padają sobie z Jutką w objęcia, płaczą. Wyjeżdża do Australii, mówi, do córki. Ale obiecuje, że najpierw odwiedzi nas w Palicsu.

Zaduszki. Dziś jedziemy do Magyarkanizsa, do moich. Mój starszy brat leży w jednym grobie z Márią Vitéz. Babcia Vitéz natomiast ze swoją młodszą siostrą Magdaléną Vitéz, córką Margarétą Kovács, mężem, z którym się rozwiodła, dziadkiem Vitéz. Na krzyżu najstarszej krypty, krypty dziadków Vitéz, moi rodzice przykręcili marmurową płytę ze swoimi nazwiskami i datami urodzenia (1913-; 1918-). Nie rozumiem, dlaczego tak wszystko skomplikowali, dlaczego wszyscy nie mogą być pochowani tutaj. Na kupie, obok babci. Nie do pojęcia, na kilku metrach kwadratowych tak się rozproszył! To faktycznie sztuka, mówi Jutka, rozkładając chryzantemy to tu, to tam, żeby dla każdego wystarczyło. Z tyłu zauważam nagrobek Gizelli Mikk. Niesamowite, w dzieciństwie nie znałem ani jednego Mikka, a przecież wtedy znałem wszystkich, naprawdę wszystkich, oprócz Mikków, chociaż z widzenia na pewno znałem i Mikków, także Gizellę Mikk, przecież moja mama to też Gizella...

Szukamy grobu sąsiada Szokola za dzwonicą. Na Járásu znaczył dla nas tyle, co Dudus w Wojwodinie, znali się zresztą, Szokola zabraliśmy do Wojwodiny, Dudus wiele razy jeździł z nami na Járás. Przez minione trzydzieści lat właśnie od tych dwojga ludzi najwięcej się nauczyłem, moje dzieci też były do nich bardzo przywiązane. Ale odwiedzimy też zmarłego niedawno starego Csóziego i jego żonę. Starego Csóziego spotkałem

jeszcze na odświeżeniu pomnika Pisty i Tihaméra przed ratuszem, podaliśmy sobie ręce, zamieniliśmy kilka słów, był moim drużynowym w harcerstwie.

W niedzielę jedziemy do Krivaji, do mojej młodszej siostry, u której mieszkają moi rodzice. Ledwo wszedłem do ich pokoju, ojciec zwrócił się do mnie z poważną miną. Jest duży problem, mówi. Duży problem? – pytam zmieszany, z jakimiś wyrzutami sumienia, bo przecież już dawno ich nie odwiedziliśmy. Duży problem? – pytam ponownie. Sprzysięgli się, szepcze. Przeciwno mnie, dodaje: byli przyjaciele. Chcą mnie zastrzelić. Skopimy im tyłki! – próbuję rozładować napięcie, już poważniejszym typom zdarzyło nam się skopać tyłki! Wierz mi, już ja ich unieszkodliwię... Ale w żaden sposób nie mogę zaradzić chmurnemu, zastygłemu wyrazowi jego twarzy. Znowu przyciąga mnie bliżej kościstą, drżącą ręką. Czuję, że chce się podzielić czymś ważnym, w końcu się zdecydował, wyjawia mi tajemnicę... Musisz odwiedzić młynarza, szepcze, charcząc, dławiąc się. Młynarza? – pytam zmieszany. Gdzie? No u nas, w wiatraku, w Kanizsy. Skąd, wtrąca się matka, on coś kręci przy Vaskapu... Kto? – pytam matkę. Młynarz, mówi. Nic nie rozumiem. Wiem, że jest wiatrak w Topolya, w Orom, ale pierwszy raz słyszę, że u nas, w mieście, w którym się urodziłem, w Magyarkaniza, też miałby być wiatrak. Próbuję w tę stronę pokierować rozmowę. W Kanizsy był wiatrak? – pytam. Był, mówi. Gdzie? – pytam. Obok cmentarza żydowskiego, tam niedaleko targu. Pamiętam jeszcze, gdzie był szpital zakaźny, coś mi świta, że jeden duży młyn był tam, na miejscu Söprü (fabryki miotel), nawet chodzi mi po głowie nazwisko właściciela, jego postać, ale wiatrak... Musisz odwiedzić młynarza. Był moim dobrym druhem. On ci pomoże odwieść spiskowców od ich zamiarów... Przygarniam do siebie jego ramię, przyciskam, próbuję w ten sposób zatrzymać drżenie. Mówię, wtedy już także mnie drżą ręce, będę miał odczyt, książka wypada mi z ręki, ale on nie słyszy. Zastrzelą mnie, mówi ze szklanymi oczami. Zostaw już obesrańców, mówię znowu, śmiejąc się. I próbuję nawet trochę się zgrywać, czemu sprzedałeś wszystkie swoje strzelby, mógłbyś je teraz trzymać pod łóżkiem, w łóżku. Mógłbyś wtedy strzelać przez okno. Raz jedną. Raz drugą. Żeby im pokazać. Nie zostawiłeś mi ani jednej, a przecież wiesz, jak bardzo mi było żal grawerowanej małej strzelby hrabiny. Teraz bym ją wyjął i powystrzelał spiskowców... Matą grawerowaną strzelbą hrabiny...

Wychodzę do salonu, zostawiam ich samych ze sobą, żeby spokojnie obejrzeni prezenty. Jest tu też Anikó, wnuczka młodszej siostry mojego ojca, nauczycielka historii. Zresztą ostatnio przenieśli się do Halas. Mówi, że w Halas sporo jest osób z Magyarkaniza. Mówię, zwykłem jeździć do Semjén, do biblioteki, zachodzę też czasem do Muzeum Koronek, w końcu wyrób koronek jest jednym z moich motywów poetyckich, a właściwie dywagacje na ten temat, przerób koronek, jakkolwiek prawdą jest, że w ostatnim czasie koronki z Halas przydają mi się tylko do aliteracji, bo w centrum mojego zainteresowania są już hvarskie koronki z agawy. Chociaż tych moich fascynacji nie należy brać zbyt poważnie, właściwie jeśli zajmuję się czymś poważnie,

taki okres nie trwa zbyt długo, rok, dwa lata, i następuje kolejny, jak na przykład teraz – czarne koronki hiszpańskie. Wiesz, że w Szabadce jest fabryka koronek? Wiem, mówi. Ale widać, że ma już dość tego tematu, moich opowieści. Odwiedzę was, jak następnym razem będę miał odczyt w Halas, mówię. Ulica Fenyő 9, pamiętajcie.

Przed wyjściem zaglądam jeszcze raz do rodziców. Przeżuwają banana. Ojciec, kiedy go obejmuję i całuję, znowu zaczyna mówić o wiatraku. Odwiedź młynarza, mówi, tylko młynarz może odwieść spiskowców od ich zamiarów. A jakie są te ich zamiary? – pytam. No chcą mnie zastrzelić. Synku, mówi, odwiedź młynarza. O jedno cię proszę, odwiedź go. Odwiedź młynarza.

Po powrocie do domu w Palicsfürdő wyciągam szybko *Atlas nazw geograficznych Magyarkanizsy*. Zdumiony widzę, że istniał tu cały rejon wiatraków.

Rejon wiatraków *Ulica położona na południowy zachód od miasta, przy której do okresu międzywojennego stały liczne wiatraki. (Por. wiatrak Bajúsza)*

Natychmiast porównuję:

Wiatrak Bajúsza *Wiatrak, który stał w Rejonie wiatraków, rozebrany około 30 lat temu.*

Książka Györgya Papa wyszła w 1982, z tego wynika, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy byłem dzieckiem, ostatni młyn jeszcze istniał, a więc powinienem o nim wiedzieć, powinienem w nim bywać, bawić się w nim! Sięgam zaraz po telefon, dzwonię do Gyurki, którego rodzina miała kiedyś piekarnię w podwórzu naszego domu, a teraz mieszka naprzeciwko ponownie odsoniętego pomnika Beszédesa, wielkiego inżyniera, który uregulował Cisę (obok Bálinta Rudiego, byłego burmistrza, byłego dyrektora fabryki obuwia, a teraz naszego sąsiada na Járásu, współwłaściciela ziemi)... Anikó też jest z Beszédesów, z dumą wspominała o pomniku, chyba nawet przyjechała z Halas na jego otwarcie... Pytam Gyurkę, w domu też pada? Pada, Cisa się przelewa. No ale jest tam przecież Beszédes, mówię, on na pewno ureguluje. Pytam, czy to on odsoniał pomnik? Mówi, że nie on, tylko nasz przyjaciel Hovány. Wspomina, jak podczas odsonięcia pomnika stary Csózi źle się poczuł. Tak? – dziwię się. Stary Csózi, mój druhnowy z harcerstwa, bardzo się cieszył, przyczynił się do wzniesienia obu posągów, grup rzeźbiarskich (Koncza i Dobó), bo też przecież stary Csózi był przewodniczącym Komisji Poszanowania Historii, wyjaśnia Gyurka. Jego komisja zajmowała się stawianiem pomników, ale też wyznaczaniem nowych nazw ulic. Będą 44 nowe nazwy ulic, mówi Gyurka. Mówię, nie widziałem go na odsonięciu drugiego pomnika. Był tam, mówi, słyszałem twoją wypowiedź i reakcję na twoje słowa o najnowszych poetach partyjnych...

Potem w końcu przechodzę do właściwego tematu, do kwestii wiatraków. Mówi, że ostatni wiatrak działał nie w Magyarkanizsy, ale w Orm (albo w Doline-Völgyes?), ale był też jeden w Martonos (wspomina też dawną nazwę Martonos: Aranyhalom). Rejon wiatraków ciągnął się od cmentarza żydowskiego, od strony Járása. Później rozmawiamy o młynie Schöffera, który stoi na miejscu przetwórci papryki czy też fabryki miotel. O tym, że młyny wiatrowe i wodne, bo był też i młyn wodny, które dawały tylko mąkę razową (z otrębami w środku), nie wytrzymały konkurencji młynów parowych, które dawały też białą mąkę pierwszego gatunku. Kiedy umarł Schöffér? – pytam. W 1941 roku zabili go Węgrzy w Adorján. Węgrzy?! – pytam zdumiony. Jest więcej niż prawdopodobne, że to zdarzenie miało coś wspólnego ze zbrodniami z 1944 roku, mówi. Teraz już nic nie rozumiem. Ale dziękuję za ogrom informacji, chociaż o tożsamości wiatraka nie udało mi się niczego dowiedzieć. Jednak wydaje się, że mam jakiś punkt zaczepienia, od którego mogę wyjść dalej. Przecież muszę znaleźć, muszę odwiedzić młynarza w wiatraku. Niezależnie od tego, czy coś kręci, czy nie. Tylko on może odwieść spiskowców od zamiaru zastrzelenia ojca. Obiecałem mu, że go odwiedzę, owszem, jeśli będzie trzeba, pojedę aż do Vaskapu, odwiedzę go, poproszę, niech odwiedzie, niech powystrzela, powystrzelajmy spiskowców...

Był całkiem spokojny

W więzieniu przeczytał wszystkie książki, powiedziała. Nie nadzętałam wypożyczać książek, opowiadała jego żona, biegałam do bibliotek na przedmieściach, szukałam adresów jakichś dziwnych ludzi, którzy za drobną opłatą, na wpół potajemnie, wypożyczali książki; któremuś z tych nielegalnych bibliotekarzy właśnie umierała żona, gdzieś w dole, pośród pościeli ziemistej barwy, musieliśmy nad nią sięgać po zakurzone książki z wciśniętej obok ściany półki, widziałam, jak na jej twarz spada drobny pył, właśnie próbowałam przenieść nad nią jakiegoś nadgryzionego przez mole Benő Karácsonya w filcowej oprawie i kilku Jenő Rejtő, kiedy wyzionęła ducha. Miał tylko jedną prośbę. Jaką? – zapytaliśmy. Żeby mu nie przynosić Magdy Szabó. Trochę mnie to zaskoczyło. Przeszkadzało mi, niemalże bolało, że mój przyjaciel uważał Magdę Szabó za nudną, mówił, że jest to przykład pisarki mrużącej... Próbowałam jej bronić, mówiłem, nie jest złą pisarką, nawet całkiem porządną, chciałem go wyrwać z jego przeświadczenia, chociaż przeczuwałem, że na darmo próbuję, na darmo powołuję się na piersi-sikawki, bo w trakcie wspomniano też *Pradawną studnię*¹, na mającą figurę ojca, przecież i my opowiadamy ostatnio dużo anegdot o muchach (przy filmie mojego syna pracował osobny treser much, wypuszczał je z pudełka, a potem, po skończeniu ujęcia, bez namysłu traktował je sprejem, mój przyjaciel oprawiający obrazy natomiast topi je w wodzie, żeby za chwilę wrzucić do popiołu, cuci je, potem z kolei w rządku przytwierdza do pudełka zapatek, licząc z ciekawością, ile z nich jest jeszcze w stanie się

¹ Węg. *Ókút* – powieść Magdy Szabó.

wznieść, ile much może jeszcze odlecieć, odlecieć do nieba razem z pudełkiem zapatek, to przecież byłoby nie byle co, wzlatujące do nieba pudełko zapatek), o ojcu, który zdejmuje z pułapki na muchy zrozpaczoną muchę i myje musze nogi... Tak, może też powinienem spróbować przez postać ojca, myślałem, zapytać o jego ojca, który mnie zresztą interesuje, a przecież nic o nim nie wiem, tyle tylko, że też zajmował się handlem obrazami, jak syn, ale zupełnie nie mam pojęcia, jakimi obrazami handlował, a wystarczającym punktem zaczepienia byłoby dla mnie, gdybym dowiedział się czegoś o jednym jedynym zakupionym przez niego, a potem odsprzedanym obrazie, bez znaczenia byłoby nawet nazwisko malarza, tylko jeden jedyny *detaille* i to, żeby obraz z tym wrytym czy namalowanym *detaille*'em wisiał przez pewien czas na ścianie ich mieszkania... Czasem myślałem o tym, jak technik dentystyczny Kopeczky sprzedawał swoje jabłka: każde na jednej małej serwetce. Widziałem mnóstwo takich jabłek. Mają zbyt cienką skórkę, tłumaczył mój przyjaciel krytyk, którego chciałem namówić na zorganizowanie wystawy jabłek technika dentystycznego Kopeczkyego, mają zbyt cienką skórkę w stosunku do zamalowanego tła, gdyby przypadkiem było odwrotnie... Prawdą jest, że ja też mam takie jabłko. Od dziesięciu lat już na nie patrzę, w tym czasie kole-dzy za moimi plecami zaczęli szemrać, co się stało z moim gustem, co za katastrofa mi się przytrafiła, otóż żaden prowincjonalny pisarz nie może uniknąć tej katastrofy, kiedy pewnego ranka rozbłysnęło przede mną nie samo jabłko, ale objawił się, rozbłysnął też *detaille*, może inaczej padło na niego światło: ta licha koronka to przecież absolut. Ucieszyłbym się, gdybym właśnie teraz się dowiedział, że jego ojciec naprawdę sprzedawał jabłka technika dentystycznego Kopeczkyego. Tak, może dzięki postaci ojca z powieści udałooby się niepostrzeżenie zmienić jego opinię, przeczytać z nim raz jeszcze fragmenty mówiące o ojcu, chociaż niewykluczone, że wtedy zaczęłaby mu przeskadzać oształamiająca niewinność ojca... Ale raczej dziwiłem się, jak to się stało, że czytając powieść w więzieniu, nie wyczuł tej niewiarygodnej potrzeby wolności, tego, że Szabó jest wolna, tak, to niezwykle, przecież trudno o bardziej idealne miejsce dla lektury *Pradawnej studni* niż prowincjonalny karcer. Naprawdę cudowna jest scena ze złotymi rybkami, jak przez odpływ wanny dostają się do morza, jak na naszych oczach dziewczynka naprawdę zaczarowuje przed nami morze, ale tu bynajmniej rzecz się nie kończy, w trakcie wychodzi na jaw jeszcze coś, co trudno znieść, i mnie łzy napływały do oczu, kiedy czytałem, że ojciec rzeczywiście nigdy nie widział morza... Szabó jest wolna, chciałem powtórzyć, jednak słyszałem już odpowiedź: ale Magda jest pretensjonalna, rozwle- kła i mruczy...

W celi było nas sześciu (6), opowiadał. On i jeszcze dwóch węgierskich dyrektorów, a także trójka dzieciaków, które podobno zamordowały w Csantavér staruszkę.

Jeden dzieciak opowiadał, uwielbiałem, mówił, kiedy dzieciaki opowiadały tym swoim pięknym językiem, że niedługo przed zbrodnią zdradziła go trzynastoletnia żona. On miał wtedy szesnaście lat, teraz, kiedy rzecz się dzieje, zakładając, że nadal żyje,

ma lat osiemnaście. Już ja temu zaradzę, myślałem, cytował, naśladował słowa chłopaka, mówiącego pięknym językiem współwzięnia, ja temu zaradzę, maleńka, żebyś mi rogów nie przyprawiła, znam dobrze takie ptaszynki, samemu zdarzało mi się takie posuwać. Uciąłem piędziesiąt drutu, kolczastego drutu, powiedział, doskonale wczuwając się w rolę młodego współwzięnia. Patrzyliśmy na niego, nie rozumiejąc. Chociaż naśladował palcami ruch nożyczek, pokazywał, w jaki sposób ucinął. Myśleliśmy, poszedł kraść, kraść coś, co znajdowało się za drutem kolczastym, wtedy musiał uciąć kawałek tego drutu. Pokazywał, uciął, powoli zakrzywił, tak realnie to wyglądało, że zaczęliśmy się bać, że zaraz ukłuje się w rękę. Pokazywał, jak wolno, a jednak jak zdecydowanie, pokazywał nagle, jak szybko, pokazywał, odgrywał, jak przewyciężając nieskończony ból, wykrzywił twarz... Uciąłem, powiedział, jak gdyby mówił o odcinaniu kawałka przynęty, i pięknie nawinęm na kutasa. I zerznąłem moją maleńką. Ptaszynkę. Śpiewaj, mówiłem, śpiewaj teraz, ptaszynko. Całkiem rozwalilem jej cipę. Więcej mnie nie zdradzi, o nie, bądźcie spokojni, nawet jak dostanę dożywocie. Widzicie, jestem całkiem spokojny, co prawda sobie kutasa też rozwalilem, wyjął, pokazał, rzeczywiście był całkiem zdeformowany, pokryty koszmarnymi bliznami, wiecie, że mnie to był naiwny człowiek, naprawdę nie przypuszczałem, że coś takiego może istnieć na świecie, a tu dyndało mi przed nosem, powiedział wpatrując się w swoją dłoń... Naprawdę był całkiem spokojny, powiedział. Nie wiem, co się stało z chłopakiem potem w sądzie, w więzieniu, nie wiem, czy dorwali go krewni ptaszynki, czy poderżnęli mu gardło, czy powiesili go za fiuta, za pokrytego koszmarnymi bliznami fiuta, czy za odpowiednią sumę w końcu dali mu spokój, czy gnije w więzieniu, czy używa swojego fiuta z bliznami, powiedział, kończąc opowiadanie. Mojego przyjaciela i dwóch węgierskich dyrektorów szybko wypuszczono. Dziś, jak wiecie, projektuje jachty w Londynie dla portu w Splicie, buduje też według własnych projektów wille i hotele w najpiękniejszych częściach wybrzeża Adriatyku. Opowiadał, jak podczas ostatniej adriatyckiej podróży testowali wypolerowany na pomarańczowo jacht, zatrzymali się w Postirze na wyspie Brac przed tamtejszą szkołą kamieniarską, o której mu wspominałem, mówiąc, że według mnie nigdzie nie można poczuć ducha cywilizacji helleńskiej tak dogłębnie, jak właśnie w tej szkole... Myślałem, że teraz należałoby wrócić do metafory morza z *Pradawnej studni*, ale ponieważ w towarzystwie nie było żadnego literata, musiałem odłożyć literackie dyskusje. Poza tym zaczął już opowiadać o jednym ze swoich kontrahentów, który przed wojną nosił kosze na targu, podczas wojny prowadził lipicańskie konie do Wojwodiny, a teraz jest jednym z miejskich oficjeli.

To jest włochate

Kupiłaś mi na targu w Palicsu drzewko jajeczne od głuchej staruszki. Wiedziałaś, że już od dawna chciałem takie mieć. Drzewko jajeczne z liśćmi wielkości jaja gołębia, z owocami wielkości jaja gołębia. Oczywiście nie wiedziałaś jeszcze wtedy, że podczas wykopalisk w Ókanizsy właśnie znaleziono awarską dziewczynę, która w obu garściach

trzymała po jajku. Mihály Ilia, któremu tam, w Szegedzie wspominałem o znalezisku z Ókanizsy, o awarskiej dziewczynie, w której zdążyłem się już zakochać, którą nazywam już moją śpiącą muzą, mówił o tym, że właśnie w Szegedzie żyje najznakomitszy znawca jaj, który na podstawie okruszka jajka potrafi określić jego wiek i rodzaj, i, jak to zwykł na swój sposób, obiecując mi pisma i książki znawcy jaj, stał się współautorem moich wierszy o jajkach, tekstów o jajkach, i tak naprawdę współautorem hasła *Jajo* w Nowym Leksykonie Tolnaiego (zakopane w ziemi jajo chińskie, jajo herbaciane, taniec wokół jaj, wiszące jajo Piero della Francesca, idealnie wypolerowane jajo Brãncușiego, wariacje na temat *Śpiącej muzy* czy *Mademoiselle Pogany*). Tak, jeśli chodzi o jajko, stoję przed poważnymi badaniami, przecież ustanowiłem je jedną z moich podstawowych kategorii, wykorzystałem je jako tytuł: skrętki łączące zarodek z żółtkiem, w środku, w osobliwym słowie (*skrętki*) przyłapać na gorącym uczynku tajemnicę życia, nawet opierając się na całkiem starym tekście. Mój przyjaciel Ilia od razu też stwierdził, że jajka z Ókanizsy w garściach awarskiej dziewczyny, mojej muzy, w delikatnych kostnych koszykach jej garści, nie mogą być kurzymi jajami, wtedy nie było jeszcze zwierząt domowych w dzisiejszym rozumieniu.

Ładne, to zawsze jest ładne, kiedy wracasz z pakunkami z targu w Palicsu, gdzie naprawdę znasz wszystkich, ze wszystkimi zamieniasz słowo, za każdym razem obok śmietany, vajalja², świeżego chleba, świeżych skwarek i świeżych gazet przynosisz świeżo cięte, ale też nadające się do sadzenia, ewentualnie doniczkowe kwiaty, za każdym razem wyczarowując też coś dla mnie, wskazując na skwarki i vajalja, mówisz, że to dla mnie przesyła przekupka i do prezentu dołączasz odtworzone historie przekupek, jedna ciekawsza od drugiej, o strasznych wypadkach śmiertelnych, wiesz, że z tych historii ucieszyć się bardziej niż z vajalja czy jeszcze ciepłych skwarek. Ładne jest też to, że często ukrywasz rzeczy, które kupiłaś, żebym nie gderał. Ale chyba najładniejsze jest, kiedy zaczyna się gotowanie przetworów i w wiklinowych koszach, plecionych skrzynkach zaczynasz znosić owoce, owoce podążają za tobą.

Zobacz, co ci przyniosłam, mówisz, zaglądając do pokoju w wieży albo do domku w ogrodzie, bo nie wiesz jeszcze wtedy, w którym miejscu krzątam się od świtu, mamrocząc, skąd dobiega muzyka.

Tego poranka faktycznie zaparło mi dech w piersiach, kiedy na stoliku na podwórzu z tyłu zauważyłem podarunek z targu: drzewko jajeczne. Właściwie nie mam pojęcia, skąd wziętem tę nazwę, bo pamiętam, że pytałem, co mówiła głucha staruszka, jak się nazywa ta całkiem dla nas nowa roślina, ale ty, śmiejąc się, powiedziałaś, że ona także nie wie albo jest nie tylko głucha, ale i niema, dałaś mi w ten sposób możliwość nadania nazwy, co też spontanicznie wykorzystałem, są to tego typu cuda o świcie, o poranku,

² Vajalja – gęsta masa przyrządzana z mąki i masła na patelni, potem odstawiana do wystygnięcia i krojona na kawałki.

z których poprawkami, uściśleniami męczymy się potem przez dni, miesiące, lata, bo w tym czasie wchłonęły je już wiersze, teksty, w znacznym stopniu żyją z nami...

Widziałem, jak później przyszła z ulicy Bartóka, tak naprawdę prawie z sąsiedztwa, moja wnuczka Zsófi, pochyliła się nisko nad nową rośliną, długo się przypatrywała, pochyliła się jeszcze niżej, nawiasem mówiąc, właściwie na swój sposób robiła to, co ja, badała, przyglądałem się jej ładnym oczom, patrzyłem na ładne czoło, czekałem, aż się odezwie. I odezwała się: to jest włochate, powiedziała. I pobiegła dalej bawić się ze swoim bratem Zsigmondem oraz psami Picúrem i Pityike.

Proszę cię, kup wszystkie drzewka jajeczne, żebym jesienią, w mojej nieskończonej zimowej samotności, a później wiosną mógł prowadzić obserwacje, doświadczenia. Może przypadkiem w tych roślinnych jajach też odkryję skrętki. Tak, łatwo byłoby je wziąć za jaja gołębia, chociaż mój szokacki przyjaciel mówi, że widział też owoce drzewka jajecznego wielkości jaja gęsiego.

Dziś znowu przyniostaś drzewko jajeczne. Wziąłem je do ręki, odwróciłem w stronę wschodzącego słońca, żeby je prześwietlić, zastanawiając się przy tym, co mogłoby być odpowiednikiem zarodka w jajku roślinnym. Położyłem je na cembrowinie, tam wyznaczyłem im miejsce. Kupiłaś też kilka skrzynek śliwek od głuchej staruszki, żeby zrobić powidła, bo pomidory już usmażyłaś, paprykę zamarynowałaś. Kiedy drylujesz śliwki, sadowię się obok ciebie na progu, kosztuję, podjadam, wypytuję o gatunki śliwek, oczywiście myśląc o zrobieniu palinki, rozmawiamy o tym i o tamtym. W miarę, jak śliwek ubywa, zauważam, że spod skrzynki wylania się strona serbskiej gazety. Szybko zaczynam ci pomagać, teraz i ja dryluję śliwki, widzę już tytuł całostronicowego artykułu:

Rosyjska aktorka kochanką Tito

Nie mogę się doczekać, aż zmniejszy się warstwa śliwek, żebym mógł wyszarpnąć spod niej gazetę i łapczywie rzucić się na nieoczekiwane odkrycie artykuł.

Piękna, sławna aktorka Tatiana Okuniewska, której najśłynniejszym filmem była *Noc nad Belgradem* (w tej chwili pierwszy raz słyszę ten tytuł, później o niego powypytuję, otóż pierwszy jugosłowiański film fabularny miał tytuł *Majka Katina*, pracującego przy nim dekoratora filmowego – tak kiedyś nazywano scenografa – miałem okazję poznać w pewnej małej słoweńskiej wiosce, w Tabor, teraz będę miał osobisty stosunek również do *Nocy nad Belgradem*) i o której względu zabiegał cały Kreml, na początku była kochanką jugosłowiańskiego działacza, Vladimira Popovića, później zaś samego Tito. Na próżno miała status *pin-up girl*, i ona musiała spędzić w Gułagu trzydzieści trzy lata, ni mniej, ni więcej. Szkoda, że dziennikarz nie był bardziej dociekliwy, mogłaby z tego wyjść cała książka o tych trzydziestu trzech latach spędzonych w Gułagu.

Ach, Tito! opowiada ciągle piękna mimo swoich dziewięćdziesięciu lat aktorka, to była wspaniała przygoda! On nigdy nie stosował wobec mnie przemocy. Mówił płynnie po rosyjsku, miał wyśmienity gust, wytworne manieri, nie jak to chłopstwo z Kremla... Tak, był dobrze wychowany i ponadprzeciętnie śmiały, co, wiadomo, imponuje kobietom. Tito chciał, żebym była jego oficjalną kochanką, planował wybudować dla mnie studio filmowe gdzieś w Karpatach! Później zamierzał się ze mną ożenić, ale na to nie zezwoliła partia. Wtedy w Jugosławii najwięcej do powiedzenia mieli Serbowie, a jego żona, Jovanka, była Serbką, co odpowiadało partii, ale nie Tito. No i poza tym wszystkim on miał wtedy już pięćdziesiąt lat, ja byłam od niego o trzydzieści lat młodsza! Wtedy już powoli jego potencia zaczynała słabnąć, co oczywiście rekompensowaliśmy sobie pomyślnie różnymi romantycznymi sprawami...

Czeczen

Tak, w miarę, jak zbliżało się wystąpienie w Monachium, podróż do Monachium, powoli ogarniała nas panika. Najzwyczajniej nie mieściło nam się w głowach, że możemy opuścić Berlin. To było nowe uczucie. Chociaż może nie całkiem, przecież z Paryżem, Nowym Jorkiem, Lublaną było podobnie, w którymś momencie czułem, że nie mogę już się stąd ruszyć. Tak, Jutka zaczęła już przeglądać oferty tańszych małych mieszkań w Berlinie, żona Bora Ćosića, cudowna Lola, tak bardzo się z tego cieszyła – mieszkaliśmy blisko siebie, codziennie na siebie wpadaliśmy, Jutka często zanosila im gorący kołacz, ale czasem też obiad czy kolację – że zaczęła nas namawiać, żebyśmy i my zostali, jak oni, na zawsze w Berlinie, ale wkrótce cudowna Lola zachorowała, pochowaliśmy ją, genialną ruscystkę, na pewnym małym rosyjskim cmentarzu w Berlinie, obok nierealnie pięknego, małego niebieskiego kościoła z kopułami w kształcie cebuli, niedaleko ojca Nabokova, którego przypadkiem zastrzelono na jakimś zgromadzeniu... Zgłosiłem Ninie Hart, kierującej DAAD³, że nie chcę jechać do Monachium. Powołałem się na niskie honorarium, na to, że zapewniają tylko jednoosobowy pokój w hotelu. Nina wykonała telefon, podnieśli honorarium, załatwili też nocleg dla Jutki, powiedziała, że musimy jechać, wydrukowali już program wieczoru, sprawdzała w Internecie (Oesteuropa Woche), dobrze o mnie piszą itede. Ale panika tylko się nasilała. Potem sytuacja zaczęła się klarować. Mianowicie: sprawa czeczeńska. Że boimy się Czeczenów. Że właściwie to o nich chodzi. O Czeczenów. O nic innego. Chociaż nie śmieliśmy się do tego przed sobą przyznać. Otóż zdarzyło się, że niedługo po naszym przyjeździe do Berlina przyjemny kobiecy głos odezwał się w słuchawce, chcieliby mnie zaprosić do Monachium, powiedział, gdzie wystąpiłbym z pewnym czeczeńskim poetą, przeczytałbym swoje utwory, porozmawialibyśmy. Z czeczeńskim poetą? – zapytałem.

Apti Bisultanow, usłyszałem w słuchawce nazwisko czeczeńskiego poety. Ale ja nie znam czeczeńskiej literatury, czeczeńskiej poezji, powiedziałem, zupełnie nie znam Bisultanova.

³ Skrót od Deutscher Akademischer Austauschdienst – Niemieckiej Centrali Wymiany Akademickiej.

Natychmiast prześlę jego wiersze, w ogóle teraz ma się ukazać jego tomik po niemiecku, powiedział przyjemny kobiecy głos. Przyszła złamana już kopia mającej się ukazać książki. Zacząłem czytać. I prawdą jest, że od razu mnie wciągnęło, od razu czułem, że Bisultanov jest dobrym poetą, bardziej nawet współczesnym, niż myślałem, chociaż trochę boję się bardów, ale przypomniało mi się, że mój fryzyjski przyjaciel, poeta, też jest swego rodzaju bardem, w dodatku nawet ślepym... Zmieszałem się. Z jednej strony cieszyłem się na niedającą się przewidzieć interakcję, a z drugiej dręczyły mnie koszmary, wysadzą mnie w powietrze na scenie, zastrzelą serią z karabinu, przecież w notce biograficznej w tomiku od razu trafiłem na informację, że nasz poeta to postać bardzo zaangażowana, kiedyś był nawet wiceprezydentem Czeczenii, no tak, osłupiałem, poeta, z którym mam wystąpić w Monachium, był w istocie wiceprezydentem czeczeńskich separatystów, zastępcą przywódcy... Ale przecież zawsze twierdziłeś, pouczałem sam siebie, że nie chodzi o rzeczy niewinne, ten rodzaj poezji, ten fluid, który tworzysz, przenika do każdej szczeliny, dotyka coraz bardziej nieoczekiwanych spraw, skutkuje osobliwymi, ciągle bardziej skomplikowanymi relacjami, aby potem czerpać właśnie z tych szczelin, z nieoczekiwanych spraw, skomplikowanych relacji, dzięki nim żyć... Dlaczego myślisz, pouczałem się dalej, że twoje przyjaźnie z Bośniakami, Albańczykami, Słoweńcami, Chorwatami kwalifikują się jako bardziej niewinne? Poprzedniego dnia po pokazie filmu *Boro Rola mojej rodziny w rewolucji światowej* przesiadywałeś z bośniackim ministrem oświaty, nawet jeśli cały wieczór myślałeś, że jest kierowcą reżysera Bata Ćengića, co poniekąd się zgadza, przecież to właśnie on przywiózł Batę z Sarajewa na projekcję w Berlinie. W sklepach filatelistycznych codziennie poszukujesz albańskich znaczków, już całe berlińskie środowisko filatelistyczne wie, że przebywa tu jeden z najstawniejszych kolekcjonerów albańskich znaczków, znają już nawet twój telefon, prędzej czy później dostaniesz od państwa albańskiego odznaczenie za swoją kolekcję, na darmo nazywasz się pompejskim filatelistą, mianują cię honorowym obywatelem Tirany. Także twój najmilszy przyjaciel ze stypendium w Berlinie, Tomasz Šalamun, był *attaché* w Waszyngtonie. Przedwczoraj natomiast debatowałeś z mężem chorwackiej pani ambasador, filozofem...

Dopiero teraz widzimy, jak daleko jest Monachium od Berlina. Kiedyś, jadąc z Holandii, zatrzymaliśmy się w Monachium, ale wtedy podróżowaliśmy przez Chorwację, Austrię, od tamtego czasu wszystko nam się przemieszało w głowach. Osiem godzin podróży pociągami. Przed podróżą sporo spacerowałem, jak to zwykłem, mówiąc, że potem długo będę musiał się kulić w pociągu. Oczywiście do plecaka wsunąłem też wydany już tomik poezji Bisultanowa. W pociągu przeczytałem go ponownie, kiedy coś przykuwało moją uwagę, sięgałem też do tekstu oryginalnego, czeczeńskiego, jako że tomik był dwujęzyczny.

Bisultanow to wielki poeta, powiedziałem Jutce, wtedy już cieszyliśmy się z wyjazdu, cieszyliśmy się z przygody, jakbyśmy wyruszyli do Czeczenii, gdzie zresztą wyruszylibyśmy bez wahania, gdyby przypadkiem nadarzyła się okazja, trochę wstydziliśmy się już

przed sobą tych początkowych wykrętów, paniki. Powoli zaczynałem poruszać się po tomiku o ładnym tytule (*Cień błyskawicy*) jak po dobrze znanym terenie. Jeden wiersz naprędce przetłumaczyłem (później oczywiście poproszę kogoś o opinię, myślałem, bo nie byłem do końca pewien, jaki jest sens ptaka pojawiającego się w wierszu, nie mogłem rozstrzygnąć, czy ptak zwany po czeczeńsku *glargluli* to faktycznie żuraw).

Czy to żuraw
Czy skrzydlaty szakal
Z zimna
Czy ze strachu przed śmiercią krzyczy
Ja słucham tylko jego głosu

W wierszu pod tytułem *Wspomnienie* znalazłem motto do mojego wiersza z mrówkami (*Wytrysnęła krew na moje usta*), który wziąłem ze sobą, żeby przeczytać. W zeszłym tygodniu potrzebowałem jednego cytatu ze *Wspomnienia* Hölderlina („Ale teraz mężczyźni odeszli do Hindusów”), moja nauczycielka niemieckiego (Doktor Die Möwe) przyniosła cały wiersz, kazała mi przeczytać na głos, musiałem go przetłumaczyć, mimo że miałem pod ręką jego węgierski przekład. Może dlatego tak bardzo mi przypadło do gustu *Wspomnienie* Apati Bisultanowa. Wylicza, o czym będzie pamiętał, i nagle nieoczekiwanie pisze, że będzie pamiętał o Berlinie, następnie pisze, że mrówki (*ameisen*) wypełnią jego duszę i miłość, i błagania, potem następuje koniec wiersza, który, to było jasne, natychmiast musiał stać się podstawą, hymnem tożsamości czeczeńskiej:

Dobry Boże, spraw, abym umarł w Czeczenii.

Delikatne, boskie złoto mknących obok nas pól rzepakowych przypominało nam Danię.

Co było najpiękniejsze w Danii? Rzepak...

Właśnie teraz tłumaczone są na duński *Bałkańskie laury*, na pewno znowu odwiedzimy Danię, bardzo nam się tam podobało, wtedy też czuliśmy, że w Kopenhadze moglibyśmy zostać na zawsze, właśnie zaczęło się lato, wszędzie pola rzepakowe, na grobie Kierkegarda półnagie dziewczęta – Bora Ćiosić jeszcze w Belgradzie, w książce o Myszkinie (*Povest o Miskinu*) pisał wariacje na temat tego mojego utworu, trzeba koniecznie włączyć do mojego duńskiego tomiku jako postowie *Pytasz, co było najpiękniejsze w Danii...* I jeszcze pola szparagów częściowo pod czarną folią, tak, dopiero teraz zrozumiałem, to właśnie te ogromne prześcieradła potęgują złoto rzepaku, pod czarną folią, chociaż zaczął się już czas zbiorów. My, w czasie prac sezonowych, zaczęliśmy zbiorczy dziesiątego maja pomiędzy Heidelbergiem i Darmstadt, na polach szparagowych założonych na lotnisku wojskowym w dolinie Neckaru. Wtedy czarna folia sprawiła,

że okno zamieniło się w lustro, spostrzegłem nas, patrzyłem bezwolnie, jaki entuzjazm wzbudził w nas widok pól rzepakowych... Kim jest tych dwoje uradowanych ludzi, przestraszyłem się, skąd do licha się tu wzięli, dokąd do licha zmierzają, do Czeczenii czy do Danii?!

W Monachium czekała na nas Ulrike Buda, to ona była tą kobietą, z którą po raz pierwszy rozmawiałem przez telefon, prawda, poznaliśmy ją już osobiście na targach książki w Lipsku, zaprowadzi nas do Ágnes Relle, znajomej tłumaczki, u której będziemy mieszkać.

Wchodzimy do Seidvilli. Ulrike jeszcze przed rozpoczęciem prosi o wywiad dla jej pisemka, dla „Stołu”. Stół?! – pytam. Nie rozumie mojego zdziwienia, entuzjazmu, że tak nagle poruszył mnie tytuł ich pisma. Mówię, to jeden z najlepszych tytułów, jakie słyszałem, kiedy tylko pojawia się, żeby włączyć nagrywanie, już mówię, opowiadam moje nieskończone historie o stołach...

Księgarnia Avicenna, która współorganizuje wieczorek, ma w sprzedaży książki głównie, jak widzę, o Czeczenii, ale jest też mój skromny *Akazienwäldchen*, mówią, że Alma Valazza poinformowała ich, że wysła im ostatnie dziesięć sztuk. W tym czasie widzę, że pojawił się Bisultanow, rozpoznaję go ze zdjęcia. Otaczają go ludzie, kucając, rozdaje dedykacje. Mnie też otaczają. Przemity, wzruszony człowiek, mówi, że jest z Bają. Nie rozumiem, mówię. Na co on zaczyna opowiadać swoje życie. Urodził się w Baji, ale w latach czterdziestych ich deportowali, opowiada o okropieństwach obozów. Cieszy się, że może mówić po węgiersku, ciężko mu to idzie, czasami przechodzi na niemiecki, ale ciągle wraca do węgierskiego, kiedy opowiada, widzę, że kilkakrotnie tży napływają mu do oczu, wyrzuca z siebie jakieś dziwne słowa, dopiero po pewnym czasie orientuję się, że to są serbskie słowa, szybko przechodzę na serbski, po serbsku mówi lepiej, musieliśmy się uczyć serbskiego, mówi, smakuje naraz i węgierski, i serbski, nie może się nimi nasycić, chce opowiedzieć o czymś okropnym, ale nie potrafi, bo uwielbienie języka jakoś mu przeszkadza doprowadzić opowieść do końca... Kiedy udaje mi się uwolnić od człowieka z Baji, jego przeżyć z Baji, okropieństw, oglądam stolik z książkami, kupuję jedną, wydaną przez Goytisolu Shurkamp, książeczkę wypełnioną zdjęciami Czeczenii, w której wspomniana jest powieść Tolstoja o Czeczenach *Hadzi Murat* i która zawiera reportaż o Groznm. Biorę książkę i ustawiam się w kolejce. Bisultanow jest znacznie młodszy ode mnie, urodził się w pięćdziesiątym dziewiątym, w czarnych dżinsach, z bączą głową ogoloną na tyso, zarośniętą okrągłą twarzą, widać, że swoje już zdążył przeżyć, był redaktorem, nauczycielem akademickim i, jak wspominałem: wiceprezydentem, nie podnosi głowy, pyta, jak się nazywam, mówię: Ottó, zapisuje i stawia wykrzyknik, tak jak i na końcu krótkiego tekstu. I zaraz sięga po następną książkę. Przy stole nie siedzimy obok siebie, pomiędzy nami jest dwoje organizatorów, jego tłumaczka nieustannie odwraca się ku niemu, on nie mówi po niemiecku, porozumiewają się z nim

po rosyjsku, swoją drogą nie zauważył, nie powiązał mnie w ogóle z osobą, której wcześniej wpisywał do książki dedykację. Ja zaczynam. Mówię krótko o moim wierszu poświęconym mrówkom, że wzbudził we mnie lęk przed językiem niemieckim, potrzebowałem pewnego niemieckiego słowa, żeby na swój sposób posunąć się naprzód, na ile można posunąć naprzód to, czego nie da się posunąć... Ági czyta wiersz przetłumaczony przez Zsuzsę Gahse, ja czytam po węgiersku, Ági czyta też coś z mojej prozy, potem niepostrzeżenie zmieniam temat, mówię kilka słów o króciutkim wierszu Bisultanowa, żeby na koniec przeczytać po węgiersku wierszyk o szakalach. Wielka cisza. Ledwo udaje im się odezwać. Na sali jest przecież wielu Czeczenów. Kilka charakterystycznych kobiet w chustkach nagrywa, fotografuje, notuje. Kiedy przychodzi kolej Bisultanowa, zaczyna od *Wspomnienia*, mrówkami z tego wiersza odpląca za mój mały przekład. W trakcie rozmowy znowu wracam do jego poezji. Sprytnie dopiero teraz wygłaszam moje zaimprovizowane przemówienie. Mianowicie o tym, jak wielkim przeżyciem było dla mnie naturalne współlistnienie w wierszach współczesności i elementów mityczno-romantycznych. I o tym, że oczywistym jest wpływ rosyjskiej poezji modernistycznej. Tak więc dzięki rosyjskiej poezji dotarł do współczesnej poezji, koniec końców odniósł zwycięstwo nad Rosjanami, stał się wielkim poetą czeczeńskim. Przez rosyjską poezję modernistyczną, z Rosjanami przeciwko Rosjanom... Później pytam, kogo z nich ceni. Przede wszystkim Pasternaka, mówi, oraz Błoka, Achmatową, Mandelsztama, wielokrotnie wspomina też wielkiego poetę czuwaskiego o nazwisku Ajgi, od którego po raz pierwszy usłyszał o Węgrzech, o węgierskiej poezji, o języku węgierskim... Na co ja cytuję Aptiemu Ajgiego:

Hej, Tura!

Geben wir einen Namen der Kind,

Geben wir ihm dennamen „Attil“

Nie rozumie tego ruchu, więc tłumaczę mu, osobliwe, bardzo osobliwe, ale Ajgiego poznałem nie na Węgrzech, nie przez węgierskie tłumaczenia, ale zupełnie przypadkiem po niemiecku, jako że Alma Valazza wydała w 1998 roku wspaniały tomik z wierszami, wywiadami, esejami Ajgiego i właśnie przez ten wspaniały, otrzymany w prezencie tomik zapoznałem się z nim, a dopiero potem sprawdziłem, jaki jest jego odbiór na Węgrzech... Po tym, jak wypłynęło nazwisko Ajgiego, lepiej rozumiem poezję Aptiego, jego odniesienie do Pasternaka czy do rosyjskiej poezji, sztuki awangardowej, chociaż do tej układanki pasowałyby też inne nazwiska: Char, Michaux, Celan czy Beckett, podczas gdy tak naprawdę rosyjskojęzycznemu poecie małego narodu, plemienia pozostaje... Tymczasem przychodzą mi też do głowy słowa Pasternaka o wierszach Ajgiego oraz to, jak bardzo osobliwe wydawało mi się podczas moich badań nad Pasternakiem przywiązanie rosyjskiego poety do tych dwóch gruzińskich poetów...

Po wieczorku objęliśmy się z Aptim wzruszeni. Myślałem już o wydarzeniu, podczas którego siedziałbym pomiędzy moimi przyjaciółmi – poetami Fryzyczykiem i Czecenem. Na razie kilka czeczeńskich kobiet w chustkach podchodzi do mnie, proszą, żebym wpiisał im dedykacje do książek. Tak, wokół szumią też ludzie wyglądający na Rosjan. Podczas gdy rozdaję moje wizytówki czeczeńskim kobietom, widzę, że jedną z nich dostaje też człowiek wyglądający na Rosjanina, przyglądam mu się, chcę zapytać, z kim mam przyjemność, ale zanim jakiegokolwiek słowo przejdzie mi przez gardło, on znika z wizytówką, na której wydrukowaliśmy też oczywiście nasz berliński adres... Przy kolacji poznaję tłumaczkę Aptiego, jego otoczenie, dystrybutorów książek. Jedna z osób dystrybuujących książki mówi trochę po węgiersku i serbsku, inna, młoda dziewczyna w okularach ostrzyżona na chłopaka – od niej kupiłem książkę Goytisol – jest Persyjką. Studiuje germanistykę w Monachium, popołudniami sprzedaje książki. Powoli przykuwa moją uwagę. Łapię się na tym, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Jakaś szlachetna powolność, mądrość, inteligencja. Nigdy jeszcze nie widziałem tak czarnych oczu. Kręci mi się w głowie. Prosi o *Książkę z wierszami*, z której czytałem podczas wieczorku. Przegląda ją i pyta, w wierszu *Ómama*, który wybrzmiał tylko po węgiersku, co znaczy słowo *zöld*? Potem odwraca głowę w stronę Bisultanowa, jej oczy błyszczą jednolitym blaskiem, nie ma tęczywek albo tęczywka też jest nieskończenie czarna, jakby całe oko było tylko wielką czarną tęczywką, pyta, wypytuje, jak to było być wiceprezydentem. Owszem, ciekawie, mówi Aпти, czeczeński wiceprezydent i poeta, ale jeszcze nie fundamentalista. Ale dziewczyna, która nazywa się Kianoosh (co z jej ust brzmi cudownie, szkoda, że nie zapisałem tej melodii albo nie poprosiłem, żeby ona to zrobiła, żeby zapisała melodię na serwetce, teraz jeszcze odszukuję ją w pamięci i tu utwalam, żeby jej nie stracić), nie zraza się, jak poeta może być partyzantem? Nie jestem mordercą – mówi Aпти. Kianoosh odwraca się w drugą stronę, znowu do mnie, zadaje pytanie, żeby znowu odwrócić się do Aptiego. Dlaczego mieszkasz w Berlinie? Bo nie mogę podróżować, nie mam wizy. Wrócisz do ojczyzny? Wrócę, mówi bez namysłu Aпти. Wrócę, bez wątplenia. Ale tam mogę tylko iść w góry, do lasu, mogę tylko być partyzantem. Pytam Aptiego, jest jakaś nadzieja? Nie ma, mówi. Nie ma, bo Ameryka wmieszała się, ugrzęzła jak w ruchomych piaskach w wojnie w Iraku, a Putin zręcznie podłączył sprawę Czeczenii do kwestii wspólnej walki z terroryzmem, jak to już wielu robiło z różnymi sprawami... Czasem mam wrażenie, że właśnie sojusznicy zduszą Amerykę w tym bliskowschodnim piasku, co dla nas tak czy inaczej nie będzie dobre... Kianoosh zadaje pytania coraz bardziej stanowczo, bezwzględnie. Jakby przypuszczała atak, chociaż przez chwilę myślę, że chce zaznaczyć swoją pozycję, niewykluczone, że dlatego jest tak stanowcza, dlatego atakuje, że stoi na stanowisku jeszcze bardziej radykalnym, nie z tej strony, ale z tamtej, a w tym wszystkim najcudowniejsze jest to, że mimo wszystko jej stanowiska za nic nie można wyczuć, co więcej nie mam już nawet siły na takie badania, żeby zadawać jej takie pytania, jakie ona zadaje Aptiemu, bo coraz bardziej zatapiam się w diamentową materię jej oczu, prawie już w niej zakochany, chociaż właściwie nie wiem, bo w miarę, jak się w niej zatapiam, ani przez chwilę nie wyczuwam

w niej żadnych kobiecych refleksów, zapachów, smaków, poza tym, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, kobiecą i zarazem niekobiecą, w jej kobiecości kryje się jakaś męskość, której nigdy nie doświadczyłem, zupełnie, w całej swojej postaci stanowi dla mnie zagadkę, a jednak przez sen i następnego dnia o świecie szepczę jej imię Kianoosh, Kianoosh...

Spotkamy się w Berlinie, mówi Aпти. Tak, mówię, przecież teraz obaj jesteśmy berlińczykami. Możliwe, że nimi zostaniemy. Zapozna mnie z kilkoma czeczeńskimi malarzami żyjącymi w Berlinie, mówi, bo zauważył, że przypatruję się okładce jego książki, ilustracjom w książce. On, to znaczy malarz, który zaprojektował okładkę, to Abu Pachajew, mówi, mieszka w Czeczenii... Jutka patrzy na mnie przerażona, widzi, że już postanowiłem, zapoznam się z czeczeńskim malarstwem, dobrze wie, że zrodzi się z tego jakaś nieskończona mania, wie, że niedługo ogłoszę się znawcą czeczeńskiego malarstwa, zacząnę przekonywać, jak ważne jest malarstwo czeczeńskie, że to właśnie ono, a nie malarstwa innych krajów, jest ważne, czeczeńskie malarstwo, wyłącznie czeczeńskie malarstwo jest kluczem do poznania świata, jakiegokolwiek sztuki...

Następnego dnia udajemy się do Lenbachhaus, do Kandinskiego, Klee, Marca. Oglądam rosyjskie ikony na szkle Kandinskiego, widzę właściwie dekonstrukcję ikony, mógłbym wręcz powiedzieć, jego sztuka jest rozbiciem, rozsadzeniem szklanej ikony. Mała sala i Klee. W księgarni w galerii wpada mi w ręce obraz Klee. Pokazuję Jutce. Nie rozumie, czego od niej chcę. Mówię, że ten obraz postawił u nas na Leonhardstrasse w swojej witrynie nasz sąsiad bez nóg. Kupuję. Wiem już, że od dziś zawsze będzie ze mną. A dopiero teraz poznaję jego wymiary: trzydzieści jeden na dwadzieścia dziewięć centymetrów i tytuł: *Wander-Artist (ein Plakat)*, rok powstania: 1940.

Hadzi Murat Tołstoja okazał się jednym z ponadczasowych podstawowych tekstów sprawy czeczeńskiej. No tak, przeczytawszy jeszcze raz przed wyjazdem, w typowy dla siebie sposób z całą pewnością dlatego, żebym nie musiał natychmiast stawiać czoła problemowi, nierozwiązywalnemu problemowi, zwróciłem uwagę na coś innego. Na relacje pewnych narzędzi wielkiego pisarza. Na zabieg Tołstoja, który polega na tym, że istotne kwestie umieszcza w śpiewie słowików, ale można też powiedzieć, że kontrapunktuje je nimi, to znaczy istotne kwestie słowikami, ich śpiewem, pieśniami. Wskutek osobliwego przypadku niedawno przeczytałem ponownie także *Ojca Sergiusza*, za sprawą Veljačića, mojego byłego nauczyciela, filozofa bośniackiego, buddyjskiego pustelnika ze Sri Lanki, który uważa go za jeden z najważniejszych tekstów. Tak więc za sprawą Veljačića włożyłem Tołstoja do mojego koszyka z książkami, z kolei Veljačićem, znawcą wschodnich filozofii, którego swoją drogą uważa się za znaczącego filozofa naszych czasów, zacząłem się ponownie zajmować, bo powoli szykuję się do Japonii... Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, ale także radości, w *Ojcu Sergiuszu* także natknąłem się na prawie automatycznie wplecione słowiki. Jak dotąd zajmowałem się już czymś podobnym

u Tołstoja, mianowicie rolę przyrody, świata roślin w jego dziełach, cudownymi, dającymi się porównać jedynie z Dürerem opisami roślin, kępami trawy. Ale na motyw słowika jako takiego dopiero teraz zwróciłem uwagę. Oczywiście Tołstoj dlatego jest Tołstojem, bo motyw nie jest u niego motywem, jego flora i fauna, bezpośrednio części, które nauczył się zauważać od Dickensa, są właśnie tajemnicą, nieuchwytnym, irracjonalnym ruchem, strażnikiem, materią wibracji za realnym, obiektywnym obrazem.

Słowik zaczął w tym czasie śpiewać, wietrzyk powiewał i poruszał świeże listki.

Mnich odszedł, a on został sam na ławce pod wiązem. Był cudowny majowy wieczór, brzozy, topole, wiązy, ligustry i dęby dopiero co wypuściły liście. Za wiązem znajdowały się krzewy ligustrowe w pełnym rozkwicie, ich kwiaty jeszcze nie opadły. Jeden słowik śpiewał, nucił piosenki całkiem blisko, kolejne dwa – trzy niżej, nad rzeką wśród krzewów. Znad rzeki najprawdopodobniej słychać było piosenkę wracających z pracy robotników; słońce zachodziło za lasem i rozsyłało promienie, rozpraszane przez zieleń listowia. Ta strona w całości miała kolor jasnożółty, druga strona, ponad wiązem, była ciemnożółta. Chrząższe wlatywały, brzęczały przez chwilę i opadały.

Kiedy ponownie zakręciło mi się w głowie od wibracji Tołstoja, niepostrzeżenie zaplątałem się, pozwoliłem, żebym się zaplątał w pewną zupełnie inną sprawę, mianowicie teraz zatrzymałem się nad brzęczeniem chrząszczy, zaraz zobaczymy dlaczego.

„Czy naprawdę upadłem tak nisko? – myślał – Panie, pomóż mi, podnieś mnie, Panie mój, Boże mój”. Złożył ręce i zaczął się modlić. Śpiewały słowiki. Usiadł na nim chrząszcz i zaczął wspinać się po potylicy. Zrzucił go. „Ale czyż on istnieje? Może pukam do pustego domu... Zamek jest w drzwiach, powinienem go dostrzec. Tym zamkiem są słowiki, chrząszcze, przyroda...”.

To pukanie przywiodło mi na myśl małe opery Pilinszkyego (trzy jednoaktowe opery, bez śpiewaków), dlatego też przypominałem je sobie, ale teraz nie czas rozwodzić się nad tymi sprawami, trzeba je zostawić do rozważenia na później. Nie ma też już więcej czasu na *Ojca Sergiusza*, natomiast jego ponowna lektura była dla mnie niewiarygodnym przeżyciem, odnalazłem w nim wszystkie podstawowe kwestie. Jak znika Bóg („Nie było Boga”) i jak powraca („Bóg powoli zaczął się w nim pojawiać... Im mniej znaczenia miały ludzkie opinie, tym lepiej czuł Boga.”), chociaż to niemal nieznośna postać Pasnjenki tak mnie ujęła. To, jak Tołstoj niepostrzeżenie wprowadza, wspomina poniżenia Pasnjenki z dzieciństwa, jak na podłodze musiał przed dziećmi pokazywać, jak pływa, a potem jego ostateczne poniżenie przed Pasnjenką. Tak, Tołstoj nie pyta, jak żyć, nie prawi kazań, nie poucza, ale po prostu nakazuje, i muszę powiedzieć, że *Ojciec Sergiusz* jest w tym odosobniony (no może jeszcze mój ulubiony tekst Tołstoja – *Trzech mnichów*): mów tylko, jak żyjesz, jak przeżyłeś swoje życie.

Ale spójrzmy w końcu na *Hadzi Murata*. W rozmowie z Aptim nie wyłynął temat *Hadzi Murata*, chociaż przygotowując się do naszego wieczorku, zapisałem sobie w notesie

kilka zdań. Na próbkę przekopuję tu kilka z nich, żebyśmy lepiej zrozumieli, co miałem na myśli.

Wojsko jest jak śmierć.

Nikt nie mówił o śmierci. Uczucie wobec Rosjan, które żyło we wszystkich Czeczenach, od najmłodszego do najstarszego, było silniejsze od nienawiści. To nie była nienawiść: po prostu nie zaliczali do gatunku ludzkiego rosyjskich psów i czuli takie obrzydzenie, taki wstręt i ślepe oburzenie na widok ich bezmyślnych okrucieństw, że w naturalny sposób dążyli do ich unicestwienia, jak do wytępienia szczurów, jadowitych pająków, wilków – to pragnienie wydawało się uczuciem tak naturalnym, jak instynkt przetrwania.

Poddani stali przed wyborem: czy zostawić wszystko tak, jak jest, odbudować ponadludzką siłą to, w co włożyli tyle pracy, a co wróg tak łatwo i bezmyślnie zniszczył – nawet jeśli w każdej chwili mogą znowu zostać zaatakowani – czy zwalczyć w sobie nienawiść i pogardę wobec Rosjan i wbrew zakazom swojej religii przyjąć rosyjskie panowanie?

Jak mówiłem, w rozmowie z Aptim nie wyplłynął temat *Hadzi Murata*, ale podczas wieczoru literackiego, kiedy mówiłem o wpływie rosyjskiej poezji modernistycznej, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zacytować z notesu tej części tekstu, czy nie podkreślać moich twierdzeń właśnie tym. Ale nie zrobiłem tego, bo jak wspominałem, zauważyłem już, że w tłumie jest sporo osób wyglądających na Rosjan. Potem z kolei obu nas jakoś zajęła, zablokowała Kianoosh. Ale, myślałem, spotkamy się jeszcze w Berlinie, wtedy poproszę go o opinię na temat książki. Zapytam też, czy w Czeczenii rzeczywiście jest tak dużo słowików w okolicy Nuha, przyszło mi nawet do głowy, że napiszę dla niego wierszyk o czeczeńskich słowikach, przecież Borges nazywa słowikiem pierwszego węgierskiego poetę, wychodząc od tego, napisałem cały cykl pod tytułem *Och, przodkowie...*

W okolicy Nuha było szczególnie dużo słowików. Dwa z nich znalazły się też w pobliskich zaroślach. Dopóki Hadzi Murat hałasował wraz z towarzyszami, ptaki milczały. Ale kiedy tylko ludzie ucichli, rozbrzmiały pieśni słowików, jakby ze sobą konkurowały. W nocy Hadzi Murat przysłuchiwał się ich odgłosom, bezwolnie też słuchał ich piosenek.

Przywołajmy jeszcze fragment ze słowikami, właściwie końcówkę książki, którą zresztą w książce Tołstoja ładnie analizuje Szkłowski, w istocie, właśnie to stawia w centrum analizy, otóż Szkłowski, co dla mnie niepojęte, nie mówi o Czeczenach, silnie zaznacza, że powieść nie mówi o Rosjanach i mieszkańcach gór, ale o walce sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Hadzi Murat nie jest w opowiadaniu ani muzułmaninem, ani chrześcijaninem, ani poganinem, ale chłopskim wojownikiem o wolność: pieśń i śpiew słowików z góry pozwala się wszystkiego domyślić, nucenie słowików zlewa się z odgłosem broni szycowanej do walki, ptaki towarzyszą broni w dalszej drodze. Będzie walka, beznadziejna walka... Tołstoj zakłębieniami poezji otacza, chroni ciało swojego bohatera, kontynuuje

Szktowski. *Słowiki, które zamilkły na czas ostrzału, teraz znowu rozpoczęły pieśń, najpierw jeden, zupełnie blisko, potem odpowiedziały mu inne z drugiej strony zarośli.*

Zaraz po tym, jak wróciliśmy do Berlina, na paradzie z okazji jakiegoś święta, dziewiątego maja, w Groznym wysadzono, w ścisłym znaczeniu tego słowa, wysadzono w powietrze Ahmada Kadirowa, przychylnego Rosjanom prezydenta Czeczenii. Znow się przestraszyliśmy. Nie szukałem kontaktu z Aptim. Ukryłem się, maniakalnie kontynuowałem badania nad florą i fauną u Tolstoja, nad brzęczącymi chrząszczami, nie śmiałem nawet wyjąć książki Goytisolo, żeby przeczytać analizę *Hadzi Murata*, bo doskonale pamiętałem wyraz twarzy Aptiego, kiedy dostrzegł u mnie małą, miękką książkę, zaczął przeglądać, a książka nagle otworzyła się na zdjęciu Basajewa. Uciekłem zatem z powrotem do mrówek, ogrodowych dżdżownic, cofając się jeszcze bardziej i bardziej... Apti pewnie też miał swoje sprawy, on też nie szukał kontaktu. Wzdragałem się na dźwięk dzwonka. Często czałem się przy oknie, żeby sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje naszego mieszkania.

Powoli mijały dni, możliwe, że w tym czasie zjeździłem już Azję, Syberię, Japonię, od dawna nie słyszałem o Aptim Bisultanowie. Dopiero dużo później wspomniał o nim znowu Gyuri Dalos. Opowiadał, że niedawno za sprawą swojego przyjaciela tłumacza Ekkehardta Maasa poszedł na wieczorek literacki czeczeńskiego poety, który jak się okazało, jest całkiem dobrym poetą – i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, powiedział Gyuri, czeczeński poeta wspomniał o tobie... Nie rozumiałem, jak to się stało, że na wieczorku literackim czeczeńskiego poety jest mowa akurat o tobie, dodał. Niby kim ty jesteś, specjalistą od Czeczenii? Nie, powiedziałem, ja zajmuję się wyłącznie czeczeńskimi słowikami, czeczeńskimi szakalami. Chociaż nawet nie, raczej tylko czeczeńskim malarstwem... I powiedziałem Gyuriemu o naszym monachijskim wieczorze, najpiękniejszym wieczorze literackim, na jakim byłem w życiu, chociaż nie wspomniałem mu o Kianoosh, o oczach Kianoosh, bezdennych diamentowych studniach, w które, wymachując na wszystkie strony kończynami, z ust wydając przeciągły świst, zapadam się, ciągle jeszcze zapadam się, chociaż oczywiście nie mogę nie przeczytać od czasu do czasu w gazecie jakiegoś artykułu związanego z Czeczenią, i widzę, że w chwili obecnej najpopularniejszym Czeczenem stał się młody Kadirow, niedawno pokazywał w telewizji sztuczną nogę wysadzonego w powietrze Basajewa, potem zaś sprezentował czeczeńskim kobietom z okazji ósmego marca głowę Maschadowa, mówiąc, że skończyły się porachunki zbuntowanych band, chociaż z Czeczenami nigdy nie wiadomo, nigdy, przecież sprzymierzeńcy Kadirowa też kiedyś służyli zbuntowanemu Dżoharowi Dudajewowi, który z kolei zaczynał jako sowiecki oficer, i powszechnie o tym wiadomo, był miłośnikiem Tolstoja, rosyjskich klasyków, nigdy nie wiadomo, przecież tam teraz wszystko rozgrywa się o ropę, cała sprawa czeczeńska pływa w ropie ze studni nad Morzem Kaspijskim, ale te pobieżnie czytane wiadomości, artykuły tylko pogłębiają, przeciągają w nieskończoność ten świst, którego słucham, zapadając się w bezdenne diamentowe studnie oczu Kianoosh, Boże, jakież to studnie, jakież to bezdenne studnie...